1 lutego, dzień 28. Zatoka Admiralicji

LODOWCOWE KARAIBY



Sceneria, pogoda, jacht – po prostu bajka!

Nigdy na tym rejsie nie działo się tyle co dzisiaj. Zaczęło się od miłej niespodzianki, jako że Krzysiek, kucharz z Arctowskiego, przesłał nam świeżo zrobione racuchy! O tym, że były pyszne, świadczy to, że zniknęły w niecałe pięć minut.

Niedługo potem podnieśliśmy kotwicę i popłynęliśmy na dalszą eksplorację Zatoki Admiralicji. Ponieważ przedpołudnie było bardzo słoneczne, postanowiliśmy zrobić „Hayatowi" sesję fotograficzną – razem z Darkiem przesiedliśmy się na ponton i trzaskaliśmy zdjęcia oraz kręciliśmy filmy, jak reszta załogi z postawionym żaglami pruje przez morskie fale, mając w tle schodzące do morza lodowce. Ładnie to wyszło, bo lodowcowa sceneria robi robotę, kolor wody w promieniach słonecznych przywodzi na myśl Karaiby, no i jacht też jest fotogeniczny.

A te lodowce – bajka! W najprzeróżniejszych odcieniach bieli i niebieskiego wyglądają zjawiskowo (nie każdy taki jest – pamiętam rozczarowanie na lodowcu Baltoro w pakistańskich górach Karakorum, który pokryty granitowym żwirem wydaje się szaroczarny). Do tego dochodziły jeszcze zjawiska akustyczne, bowiem olbrzymie lodowe ściany z mnóstwem pęknięć co jakiś czas serwowały widowisko w rodzaju oberwania się jakiegoś olbrzymiego fragmentu. Najpierw był huk przypominający wystrzał armatni, po czym leciała lawina śniegu i lodu, które wpadając do morza, powodowały fale minitsunami. Oczywiście lepiej trzymać się od takich tworów natury w rozsądnej odległości, choć pokusa, by podpłynąć jak najbliżej, gdzieś tam w głowie kołacze.



To już moje kolejne odwiedzone Machu Picchu

Było już lekko po popołudniu, gdy zmieniliśmy miejsce i scenerię, decydując się na odwiedzenie... Machu Picchu. Naprawdę, nie żartuję! Tak właśnie nazywa się stacja peruwiańska, w której przy wejściu wisi wielkie zdjęcie stanowiącego dumę narodową inkaskiego zabytku. Powiedziałam Peruwiańczykom,



Poskładany przez Peruwiańczyków szkielet wieloryba

że odwiedziłam ich słynne ruiny nawet kilka razy i że przeszłam cały Szlak Inków*. Wyraźnie się ucieszyli i dali mi z tej okazji stacyjną koszulkę oraz poczęstowali pysznym sokiem z marakui. Byli bardzo gościnni, choć mam wrażenie, że większość, a może nawet i wszyscy członkowie czterdziestoosobowej ekipy, jaka tu jest, to wojskowi. Do swojego użytku mają nawet helikopter – stoi zaparkowany tuż obok plaży.

Z ciekawostek – tuż przed swoimi czerwono-białymi barakami (kolory odwzorowują flagę Peru) polarnicy ułożyli szkielet wielkiego wieloryba. Zdradzili, że w rzeczywistości to puzzle z wielu znalezionych szczątków, ale efekt robi wrażenie. I oczywiście jak przy każdej bazie jest też drogowskaz, z którego wynika, że do Paryża mamy 13 419 kilometrów (Warszawy nie ma), za to na Arctowskiego tylko 8! Na zdjęciach wiszących w jadalni widać, że polscy polarnicy nieraz tu w odwiedzinach bywali, za to jeśli chodzi o jachty, to według Peruwiańczyków byliśmy pierwszą tego typu jednostką, jaką tu widzieli! Nie wiem tylko, czy mowa o tym sezonie, czy o prawie czterdziestoletniej historii antarktycznego Machu Picchu. Swoją drogą to tylko letnia stacja, na zimę nikt w niej nie zostaje.



„Hayat" przy pełni księżyca. Zdjęcie otrzymane od Mikołaja Arndta

Do stacji brazylijskiej, usytuowanej dosłownie naprzeciwko Peruwiańczyków, w pobliżu półwyspu o nazwie – uwaga – Kraków, dotrzeć już nie zdążyliśmy. Aby zrealizować nasze plany, trzeba było Wyspę Króla Jerzego opuścić, a chcieliśmy jeszcze na koniec przepłynąć koło Arctowskiego. Pożegnaliśmy się z polskimi polarnikami przez radio, nie wiedząc wtedy jeszcze, że jeden z nich – Mikołaj Arndt – specjalnie wyszedł na sobie tylko wiadomą pozycję, z której zrobił przepiękne zdjęcia „Hayata" pod żaglami w świetle księżyca. Piękny prezent, a zdjęcia naprawdę sztos!

* Szlak Inków (Inca Trail) – szlak trekkingowy poprowadzony przez peruwiańskie Andy po autentycznej drodze inkaskiej, pozwalający dotrzeć górami do słynnego Machu Picchu.

2 lutego, dzień 29. Zatoka Admiralicji–Esperanza

LÓD, LÓD, WSZĘDZIE LÓD (I GÓRY LODOWE TEŻ)



Góry lodowe potrafią zadziwiać swoją wielkością i kształtami

Jakże romantyczną wachtę mieliśmy w nocy z Kłysem na wyjściu z Zatoki Admiralicji. Była pełnia księżyca, zaskakująco spokojna, przypominająca jezioro tafla wody lśniła w jego blasku, a że płynęliśmy wyłącznie na żaglach, to odgłosy, jakie było słychać, ograniczały się do plusku wody i pożegnalnej orkiestry rechoczących pingwinów. Określenie „rechoczących" jest w tym wypadku jak najbardziej właściwe, bo rzeczywiście wzięliśmy to wtedy za rechot jakiś endemicznych żab*, a że to pingwiny, zorientowaliśmy się dopiero następnego dnia, gdy stojąc blisko brzegu ponownie usłyszeliśmy osobliwy odgłos.

Gdy odpuściwszy sobie śniadanie, obudziłam się na dzienną wachtę, byliśmy już po drugiej stronie Cieśniny Bransfielda, ponownie blisko Półwyspu Antarktycznego. Nadal lekko zaspana wystawiłam głowę z zejściówki i jedyne, co mogłam wykrztusić, to:

– Kurna! Ależ tu pięknie!

Przed dziobem majaczył koniuszek półwyspu, z wieńczącym go u góry białym, trójkątnym szczytem, wystającym około 760 metrów

* Na Antarktydzie żaby obecnie nie występują (w ogóle nie ma tam żadnych płazów), choć są dowody, że kiedyś tam żyły, dokładniej 40 milionów lat temu, gdy antarktyczny klimat był dużo cieplejszy.





ponad poziom morza, wokół nas dryfowały zaś przepiękne, potężne góry lodowe. Myślałam, że po Grenlandii żadne takie twory już mnie nie zaskoczą, ale myliłam się – te zrobiły na mnie piorunujące wrażenie. Jedne przypominały stoły, inne baszty, kolejne jakieś baśniowe kreatury, przy czym rozmiarowo wszystkie były dużo większe od gór lodowych, jakie widzieliśmy na tym rejsie wcześniej.

Im bliżej byliśmy Esperanzy, argentyńskiej osady stanowiącej nasz cel, tym lód coraz mocniej się zagęszczał. Mowa nie tylko o coraz większej liczbie gór (choć to też), ale przede wszystkim

ZIELONE GÓRY LODOWE? TAKIE TEŻ SĄ!

Klasyczne góry lodowe i growlery są białe, ewentualnie z odcieniami błękitu. Niebieski kolor wskazuje, że mamy do czynienia z bardzo starym lodem (kilkaset lat to norma), a charakteryzują go wypchnięte przez ogromne ciśnienie, zamrożone pęcherzyki powietrza.

Mało kto jednak wie, że wprawdzie bardzo rzadko, ale zdarzają się przy brzegach Antarktydy Wschodniej góry lodowe, które są… zielone. Może być to głęboka zieleń butelkowa, a może być też odcień zielonożółtobrązowy. Wszystko zależy od ilości uwięzionego w lodzie materiału organicznego pochodzącego z rozkładu roślin i zwierząt morskich (im więcej tej materii, tym intensywniej zabarwiona jest morska woda, i tym samym powstający z niej lód). Chociaż… zdaniem naukowców z Uniwersytetu Waszyngtonu za zieloną barwę mogą być odpowiedzialne także tlenki żelaza odkryte w dużych ilościach w szelfie lodowym Antarktydy Wschodniej.

Na koniec wypada jeszcze wspomnieć o górach lodowych… prążkowanych, czyli mlecznoniebieskich z ciemnoniebieskimi albo zielonymi paskami. Powstają one wówczas, gdy woda morska wypełnia szczeliny lodu szelfowego, następnie w nich zamarza. Z czasem kawały lodu się odrywają i dryfują po morzu. Jedno jest pewne – natura to najwyższej klasy artystka z talentem i inwencją nie do podrobienia!



Artur na oku, czyli w roli pokładowego obserwatora

o growlerach tworzących w pewnym momencie trudny do przejścia lodowy pak. Szczerze mówiąc, powoli już zaczęliśmy tracić nadzieję, że dojdziemy do brzegu, ale po tym, jak Darek z Nikiem wleźli na maszt i z góry wydawali komendy, jak płynąć, udało nam się znaleźć korytarze wolnej wody i jakoś ten labirynt pokonać.

Zanim rzuciliśmy kotwicę przy brzegu zastawionym bordowymi domkami, próbowaliśmy ludzi z Esperanzy wywołać przez radio. W eterze panowała cisza, więc gdy już można było zrzucić ponton, razem z Arturem i Leszkiem na brzeg po prostu popłynęliśmy. A tam wojsko na nabrzeżu z informacją: sorry, fajnie, że jesteście, ale zejść nie możecie, bo od kilku miesięcy jest problem z roznoszoną przez pingwiny ptasią grypą. Rozumiemy, siła wyższa, ale widząc podpływający jacht, mogli nam powiedzieć przez radio, jaka jest sytuacja. Nie pchalibyśmy się tutaj przez ten zdradziecki lód.

Bez obserwatora na maszcie trudno byłoby pokonać ten zlodzony odcinek



Szkoda, że tak wyszło, bo Esperanza to bardzo ciekawa miejscowość. Jej nazwa po hiszpańsku oznacza „nadzieję". Gdy byliśmy w chilijskim Puerto Toro, wspominałam, że tamtejsi mieszkańcy promują to miejsce jako najbardziej na południe wysuniętą wioskę świata, ale uczciwie patrząc, ów tytuł należy się raczej założonej w 1953 roku Esperanzy. Latem mieszka tu ponad



Esperanza – jedyne miejsce na Antarktydzie, gdzie urodziły się dzieci

sto osób, zimą o połowę mniej, przy czym nie jest to klasyczna baza naukowa czy też wojskowa – owszem, obie te grupy zawodowe tutaj są, ale mieszkają wraz z rodzinami. Po prostu wzorcowa wioska – mieszkańcy mają do dyspozycji szpital, szkołę i sklepy, działa nawet drużyna skautowa! Zdarzały się też narodziny – przyszło tutaj na świat ośmioro dzieci.

ANTARKTYCZNE DZIECI

Zaledwie osiem osób w skali świata może poszczycić się możliwością wpisania w dokumentach: miejsce urodzenia – Antarktyda. Czy coś im to daje? Ano nie. Nie wiąże się to z żadnymi przywilejami, specjalnych paszportów nie mają, obywatelstwo antarktyczne też im nie przysługuje, bo przecież takowe nie istnieje. Urodzone na Antarktydzie dzieci dziedziczą narodowość i obywatelstwo po rodzicach (tak zwane prawo krwi) albo przyjmują obywatelstwo kraju władającego stacją, w której poród się odbył.

Pierwszym dzieckiem, jakie przyszło na świat na Antarktydzie (kontynencie), był urodzony 7 stycznia 1978 roku Emilio Palma. Jego rodzice zostali wysłani na Antarktydę celowo – ciężarna mama w momencie dotarcia do bazy znajdowała się w siódmym miesiącu ciąży. Chłopiec urodził się zupełnie zdrowy, ważył 3,4 kilograma i już od pierwszych dni życia stał się swoistym celebrytą, wpisanym do Księgi Rekordów Guinnessa. Zarówno to dziecko, jak i siedmioro innych przyszły na świat w argentyńskiej bazie Esperanza. Pomysł wysyłania ciężarnych kobiet na antarktyczne porody podchwyciło także Chile – w stacji Eduardo Frei Montalva na Wyspie Króla Jerzego (choć to już jednak nie Antarktyda w sensie kontynentu) urodziło się w sumie troje dzieci. Ostatnie z nich 23 stycznia 1985 roku – od tego czasu żaden antarktyczny poród już się nie odbył.

Nasuwa się pytanie, jaki był sens rodzenia dzieci w antarktycznych bazach. Chodziło o względy polityczne, liczono bowiem, że może być to dodatkowy argument w roszczeniach, jakie Chile i Argentyna wysuwają w stosunku do Antarktydy. Ostatecznie z tego typu akcji zrezygnowano, uznając, że ryzyko, na jakie naraża się kobiety, jest to po prostu nieetyczne, a i politycznie też zupełnie bezcelowe.

3 lutego, **dzień 30.** **Esperanza–Wyspa Gibbs**

CO SIĘ STAŁO Z NASZĄ WODĄ

Mamy problem: w rurach biegnących w czeluściach kadłuba zamarzła nam woda. Innymi słowy, nie mamy w kranie słodkiej wody (słona w innym kranie leci). Owszem, jest jakaś jej rezerwa w baniakach i przy odpowiednim limitowaniu do Georgii Południowej powinno nam jej wystarczyć, niemniej sytuacja stała się niecekawa. Rzecz jasna chłopaki próbują coś tam działać – były nawet próby podgrzewania rur odkurzaczem, włączonym silnikiem i inne, na razie jednak nie przyniosły oczekiwanych rezultatów. Szczerze mówiąc, mamy nadzieję, że jak przeżeglujemy trochę na północ – a północ w tym przypadku oznacza ocieplenie – to temperatura wody w morzu zrobi się stopniowo wyższa i rury odmarzną.

Odkąd wczoraj wieczorem zostawiliśmy Esperanzę za rufą, cały czas płyniemy. Właśnie zeszłam z wachty. Zmarzłam, bo jechałam za sterem ciurkiem dwie godziny, a wiał mroźny wiatr i jeszcze naszły nienajlepiej wpływające na nastrój ciężkie chmury. Poza tym nudno było straszliwie – nic ciekawego się nie działo, żadnych widoków, tylko morze i morze. Na początku były jeszcze jakieś góry lodowe, ale potem nawet one zniknęły i pozostał rozfalowany ocean. Choć... Na śmierć zapomniałam! Urozmaiceniem był pasażer na gapę! Dokładniej białe ptaszysko, które rozsiadło się na rufowym



Dzięki księżycowi łatwiej nam w nocy wypatrzyć góry lodowe

DIETA POCHWODZIOBA



Przypominają nadąsanego białego gołębia, choć mają w sobie też coś z kury. Mowa o pochwodziobach, a dokładniej o pochwodziobach żółtodziobych – ptakach spotykanych na Półwyspie Antarktycznym, Szetlandach i Orkadach Południowych, Georgii Południowej, choć w ramach migracji pojawiają się też na Falklandach czy w Patagonii. Dawni wielorybnicy na pochwodzioby polowali – traktowali je jako wsad do garnka. Mimo to nie są to ptaki zagrożone wyginięciem. Ich nazwa nawiązuje do żółtawych rogowych pochewek przy nasadzie dzioba, z którego inteligentny i sprytny ptak robi różnoraki użytek. Jakiś drobiazg leży na pokładzie albo na lądzie jakaś rzecz została wyjęta z plecaka? Duża szansa, że pochwodzioby się tym zainteresują. Nie bez powodu mówi się o nich, że to złodzieje, na dodatek niezwykle zuchwali, a wręcz bezczelni.

Widać to również w ich upodobaniach żywieniowych. Inna sprawa, że to jedyne ptaki antarktyczne niezdobywające pożywienia wprost z morza (dowodem jest to, że nie mają na stopach błon pławnych), przez co muszą być niemal wszystkożerne. Nie pogardzą niczym. Padlina, łożysko pozostałe po urodzeniu foki albo pępowina łącząca matkę z oseskiem? Może być. Glony czy trawy? Jasne, że tak. Ryby i kałamarnice porzucone przez inne gatunki? Super. Odchody pingwinów czy uchatek? Toż to rarytas! Czasem sposoby na zdobycie jedzenia są wręcz odrażające, bowiem zdarza się, że pochwodzioby zjadają innym ptakom jaja lub pisklęta, ewentualnie nękają biedne pingwiny czy kormorany, zmuszając je do wyplucia pokarmu, jaki niosą dla swoich młodych. Nie gardzą też krwią – w tym celu skubią dziobem rany ofiary. Lubią też mleko fok – aby je zdobyć, nauczyły się naciskać sutki foczych mam.

Pochwodzioby słyną również z bajzlu, jaki robią wokół siebie. Nawet ich mające kształt miski gniazda są jednym wielkim śmietnikiem – znajdziemy w nich pióra, różnorakie odpadki, guano, padlinę, kości zwierząt... A jakieś dobre cechy? Znajdą się – mogą zaimponować monogamicznością.

rusztowaniu podtrzymującym ponton. Później w mądrych źródłach rozszyfrowałam, że to pochwodzióbb żółtodzioby (faktycznie dziób ma żółtawą nasadę). Przyznaję, konkursu ptasiej piękności ta wyglądająca ociężale „kura" latająca jak gołąb by nie wygrała, ale miło jest widzieć na tym pustkowiu jakąś żywą istotę. Swoją drogą osobliwe zwyczaje żywieniowe mają te ptaki.

Tymczasem kapitan ogłosił, że niebawem mamy gdzieś stanąć. „Gdzieś" oznacza malutką wysepkę położoną 15 mil od Wyspy Słoniowej. Nie opłaca nam się płynąć dalej, bo tutaj możemy wykonać manewry kotwiczne jeszcze za widoku, a tam musielibyśmy robić to już w ciemnościach. Teraz już wróciliśmy do normalnych, zupełnie ciemnych nocy. Wczoraj nawet widziałam pierwsze od wielu dni gwiazdy!